Mały przegląd

pismo dzieci i młodzieży

wychodzi co piątek rano ✕ korespondencje i materiał kierować należy do redakcji „małego przeglądu" nowolipki 7

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY DO NR. 14 (8345) NASZEGO PRZEGLĄDU"

WOLNA TRYBUNA

Skrzynka zażaleń

Szanowny Panie Redaktorze!

Ja (może nie pierwsza) tworzę w Małym Przeglądzie skrzynkę zażaleń. Do pana redaktora nie mam żadnej urazy, lecz pozwalam sobie na zwrócenie uwagi. Mam dwie następujące sprawy:

I. — Dla wszystkich prawie korespondentów gazetka iest najlepszym przyjacielem. Przedstawiają jej wszystkie myśli, uczucia, pragnienia. Dużo korespondentów nie ma przed Małym Przeglądem żadnych tajemnic. Dlaczego w takich warunkach wszyscy korespondenci i czytelnicy z panem redaktorem na czele nie mieli tworzyć zwartej „obcej, a jednak bliskiej" gromady. Ale przeciwnie. Zauważyłam nieprzychylny stosunek pana redaktora do korespondentów.

Przytoczę dwa przykłady: co kwartał odbywa się w gazetce konkurs. Ostatnio prac było 180, z których zaledwie 13 zdobyło nagrody. A dla reszty ani słówka pocieszenia. Ktoś mi odpowie:

— Owszem, jest pocieszenie: nowy konkurs.

Ale może nie wszystkim tematy te odpowiadają. Znalazłoby się chyba trochę miejsca i czasu dla pocieszenia niefortunnych autorów.

Albo: korespondentka przepisała artykuł i posłała go do gazety jako jej. Zamiast wytłumaczyć jej błąd, daje się taką odpowiedź: „Opowiadanie ściągnięte. Prosimy do nas więcej nie pisać".

Panie redaktorze! Czy tak powinno być?

2. — Druga rzeczą jest zmienianie artykułów. O tym przekonałam się na własnej skórze. Nadesłałam w swoim czasie artykuł: „Wydrukują — nie wydrukują". Ot, taki sobie artykulik bez treści, lecz do śmiechu. Pan redaktor zmienił go, że można się śmiać, ale... z głupoty tego artykułu. Zdania można zmienić, ale treść... Niekiedy sam autor śmieje się z swego „utworu". Ze względu na nieprzyjemne konsekwencje proszę (bardzo proszę) o niezmienianie artykułów.

BASIA z Muranowskiej.

Uwagi redaktora

Po pierwsze, nie 163 „niefortunnych autorów", ale 127, bo oprócz 13 prac, nagrodzonych w Konkursie Jesiennym, było 40 wyróżnionych. To dużo, nawet bardzo dużo: prawie co trzeci autor zdobył nagrodę albo wyróżnienie.

Po drugie, nigdy jeszcze czytelnicy Małego Przeglądu nie mieli tylu możliwości do wypróbowania siebie, do „pocieszenia" w następnych zawodach, jak właśnie w tym roku. Przypomnij sobie tylko, Basiu: konkurs jesienny (3 tematy i jeden dowolny właśnie dla tych, którym „tematy te nie odpowiadają") konkurs zimowy (3 tematy), kilka konkursów na różne tematy aktualne, walka o tekę redaktora, stałe turnieje „Rozrywek Umysłowych"...

Po trzecie, unikam słów tkliwych i jałowych. To już poniekąd tradycja Małego Przeglądu. Zamiast składania wyrazów współczucia i pocieszenia, zachęcam do pracy: przez konkursy, — w przeglądzie korespondencji, w odpowiedziach listownych, w rozmowach co niedziela, kiedy każdy może przyjść i poradzić się w swojej sprawie. A że są niepocieszeni, rozgoryczeni, nawet śmiertelnie obrażeni — trudno, wszystkich listów drukować nie można. Redaktorowi nie wolno tym się przejmować, ani obrażać na niezrozumienie, na niesprawiedliwe skargi, w ogóle nie wolno mu mieć jakichkolwiek osobistych sympatii lub antypatii.

Po czwarte: przepisanie cudzego artykułu — to nie błąd, ale ciężkie przewinienie, tym cięższe, że popełnione świadomie z bardzo brzydkich pobudek — żeby bez żadnego wysiłku skorzystać z wyniku pracy innego człowieka albo przez złośliwość. A w danym wypadku został ściągnięty ten sam artykuł po raz drugi, został przysłany po wzmiance o tym, że za takie rzeczy skreślamy z listy korespondentów. Zapytujesz: „czy tak być powinno?". Tak, trzeba powiedzieć wyraźnie: to nieuczciwe i z nieuczciwymi współpracować nie chcemy.

Piąte: bardzo się cieszę, kiedy mogę artykuł oddać do druku bez żadnych poprawek. Mam wtedy jakby swoje maleńkie święto — że ktoś tak dobrze napisał. Niestety, rzadko to się zdarza. Zwykle trzeba skracać i poprawiać. I tu znów, rzecz jasna, są żale i skargi. Owszem, po pewnym czasie, po roku powiedzmy, nieraz ten i ów dziękuje, ale w pierwszej chwili te zabiegi chirurgiczne mocno drażnią, nawet bolą. Rozumiem to, jednakże obrzydłego czerwonego ołówka nie odrzucam: chciałbym, ale nie wolno. — Nie pamiętam, na czym polegała operacja w Twoim artykule. Przyjdź do mnie w niedzielę, pokaż. Jeżeli naprawdę wyrządziłem Tobie krzywdę (przecież może się zdarzyć), napewno Cię przeproszę i artykuł wydrukuję w całości.

Szóste: „nieprzychylny stosunek do korespondentów"... Jeżeli przejawił się on Twoim zdaniem tylko w przytoczonych przez Ciebie wypadkach, to już wyjaśniłem, ale jeżeli w ogóle — no to mnie mówić nie wypada: niech sądzą sami korespondenci.

A siódme, być może najważniejsze: dobrze, że nie zataiłaś swojego żalu, że otwarcie, szczerze wypowiedziałaś, i za to Cię, Basiu, szanuję.

Jakich lubimy nauczycieli

Wieczorem po zbiórce kółka zaproponowałam zebranym dziewczynkom:

— Wiecie, mam pomysł, urządźmy ankietę na temat: „Jakich profesorów najbardziej lubimy i dlaczego?"

— Dobrze! — krzyknęły dziewczynki.

— Biegnę po ołówki i papier! —zawołała Lili i po chwili wszystko to znalazło się na stole. Zaległa cisza. Wszystkie pracowały w skupieniu nad swoimi kartkami.

— Dziewczynki, ja nie wiem, dlaczego lubię pana profesora F.? — krzyknęła Nacia.

— Bo jest morowy! — zawołałam niecierpliwie — i... daj spokój.

Minuty upływają szybko.

— Ja już mam gotowe — zawołała Ruta.

— I ja!

— Ja też!

Ada zebrała kartki do pudełka.

— Dziewczynki, cisza, zaczynamy odczytywać...

Ponieważ kartki nie bardzo się różniły, wybrałam tylko kilka.

Kartka Berty:

„Najbardziej z wszystkich nauczycieli lubię pana prof. M. Lubię go dlatego, bo jest bardzo dobry i sprawiedliwy i także bardzo zgrywny. A potem lubię prof. H. Nie krzyczy na lekcjach, jak inni nauczyciele i lubię go też dlatego, bo lubię niemiecki. Pan prof. B. ładnie wykłada, co bardzo urozmaica lekcję. Panią prof. H-żankę lubię dlatego, że jest bardzo dobra i gdy mamusia przychodzi na wywiadówkę, to ją pociesza i nie mówi tak źle, jak jest. Pan F. jest morowy i koniec".

Moja kartka:

„Najbardziej lubię pana prof. M. Lubię go dlatego, bo ma dobre serce i jest sprawiedliwy. Bardzo często, gdy przychodziła na wywiadówkę moja mamusia, nie mówił wszystkiego złego, gdyż nie chciał jej martwić. Chociaż nie uczę się za bardzo dobrze i dokazuję na jego lekcjach, to jednak jestem mu bardzo wdzięczna i bardzo go lubię. Ubóstwiam panią prof. M. gdyż jest bardzo słodka, miła i nikomu krzywdy nie robi. Dlaczego lubię pana prof. H. — to naprawdę nie wiem. Może dlatego, że lubi dzieci, a może, że jest taki dobry. Panią prof. S. lubię dlatego, że jest śliczna. Ma takie ładne szare oczy, ładną twarz i jest bardzo miła. Pan prof. H. jest dobry, ojcowski. Umie dobrze do dzieci przemawiać i rozumie je".

Kartka Geni:

„Pana prof. H. lubię dlatego, bo jest dobry. Pan prof. F. jest miły i wesoły i ma takie śmieszne sentencje: „siadaj, dziecino, kiepsko z twą łaciną". „Siadaj kochanie, będzie płacz i narzekanie". Gdy ktoś źle odpowiada, mówi: „Nie minęła dla mnie jeszcze godzina boleści, trwać będzie ona jeszcze z minut trzydzieci" (stosownie do ilości minut do końca lekcji). Pani prof. H-żanka jest bardzo inteligentna i ładnie wykłada. Pan prof. R. ma taki śmieszny okrzyk: „uha". Pan prof. B. ślicznie wykłada i przeplata lekcje różnymi historyjkami".

Po przeczytaniu kartek powiedziałam do dziewczynek:

— Wiecie, nauczyciele bardzo różnią się między sobą. Każdy z nich ma jakieś przyzwyczajenie lub jakąś słabostkę. Mnie się zdaje, że bez tych cech wcale nie lubiłybyśmy ich. Jakby prof. F. wyglądał bez sentencyj, prof. M. bez słówka: „ty idiotko", albo R. bez swojego „Uha". Nie mogłyśmy się tak dobrze wysłowić i odpowiedzieć zupełnie ściśle na pytanie: „Jakich nauczycieli lubimy i dlaczego".

ZUZIA JAKÓBOWICZ
z kółka korespondentów M. P. w Kaliszu.

Zła metoda

— Nic nie rozumiesz! Ty kretynie! durniu! bałwanie!

Z rezygnacją schylam głowę, nie mówię już ani słowa, wiem dobrze, że każda próba odpowiedzi rozzłościłaby jeszcze bardziej i tak trzęsącego się z gniewu profesora. Albowiem gdy profesor mówi czy krzyczy, nie wolno mu przerywać: trzeba wtedy w milczeniu stać pod pręgierzem drwiących uśmiechów i ironicznych spojrzeń współkolegów tak długo, aż profesor, wyciągnąwszy notes, zapisze dwójkę.

I wiem dobrze, dlaczego czuję wtedy nienawiść do tego roz krzyczanego na katedrze człowieka. Nie dlatego, że postawił mi dwójkę, bo może na nią zasłużyłem, ale za to, że wobec mych kolegów tak mnie bezlitośnie wyszydził i zwymyślał. Tak chyba postępować musiał książę Konstanty, gdy zrywał szlify i bił po twarzy swych oficerów.

Wypadki takie są u nas w szkole nader częste. Tak rzecz ma się na lekcjach, a co najdziwniejsze i na zbiórkach klasowych. Proszę pomyśleć: na zbiórkach klasowych, tam, gdzie uczniowie i wychowawczynie radzą wspólnie nad sprawami klasy, gdzie profesorka powinna zstąpić z piedestału swej uczoności, zniżając się do umysłowości ucznia, Wczuć się w jego psychikę i postępować naprawdę po koleżeńsku.

Może niektórzy odkryją w tym miejscu komiczne sprzeczności, jak bowiem występując przeciw przezywaniu i wymyślaniu uczniom przez profesorów, zalecać mogą koleżeńskie postępowanie i bliskie współżycie, przy którym przezywanie jest zjawiskiem pospolitym i nikogo nie rażącym?

Jest jednak różnica między przezywaniem i przezywaniem. Inne jest przezywanie że tak powiem koleżeńskie uczniów przez uczniów, a inne znów uczniów przez profesorów.

Za to, że mię przezwał kolega, nie obrażę się nigdy, nie pozwala mi na to (jeśli przezwisko było trafne, dowcipne) poczucie humoru, a zresztą... za chwilę poczęstować go mogę przezwiskiem bardziej jeszcze dowcipnym. A jeśli przezwie lub zwymyśla mię profesor? Oczywiście sytuacja będzie zupełnie inna. I w tym właśnie leży szkaradność przezywania słabszych przez silniejszych, młodszych przez starszych — w brutalnej przemocy i przewadze przezywającego nad przezywanym.

Zastanów się teraz: gdzie leżą przyczyny przezywania? Niewątpliwie zależne są one od samego charakteru profesora, a raczej od stanu jego nerwów. Bo czasem naprawdę zdenerwować się można, widząc, jak uczeń nie może wybrnąć z niezmiernie łatwego zadania; wówczas usta otwierają się same, by wyrzucić miano bałwana czy cymbała. Można to zrozumieć, ostatecznie człowiek nie jest aniołem.

Ale gdy usta profesora nie zamykają się i istny potok wyzwisk zmywa głowę nieszczęśnikowi, albo gdy profesor, pozując na dowcipnisia, zabawia jego kosztem całą klasę, — trudno nie dopatrywać się po prostu złej woli.

Nasuwa się pytanie: w jakim celu jest to robione? Trudno jest na to odpowiedzieć. Co do mnie osobiście, sądzę, że przezywanie uczniów jest uważane przez niektórych profesorów za pewną metodę pedagogiczną w walce z lenistwem i innymi naszymi wadami. Ale stosując tę metodę dla naszego dobra, nie widzą, że ona bynajmniej nie wpływa dodatnio na naszą ambicję, przeciwnie łamie ją i miażdży. Chłopiec nazwany wobec kolegów idiotą i durniem, może w to uwierzyć i stracić wiarę w skuteczność swojej nauki.

My już chyba dobrze znamy konsekwencje, wynikające z nieumienia lekcji, jeśli więc mimo to chcecie nam je przedstawić, zróbcie to w inny sposób, bez używania słów obraźliwych. Zrozumcie, że my mamy już swój honor i boli nas głęboko, gdy się mu uwłacza. Wymagacie już od nas większej inteligencji, pilności, lepszego zachowania, a więc

(Dokończenie na str. następnej)

i traktujcie nas lepiej i poważniej, panowie pedagodzy!

A może się mylę? Może „metodu wymyślania" wcale nie istnieje? Jak wtedy wytłumaczyć wymyślanie?

Tak czy inaczej, smutny ten objaw powinien zupełnie zniknąć z życia szkolnego, bo przeszkadza w zbliżeniu ucznia do profesora i w prowadzeniu lekcyj jeśli nie w przyjacielskim, to choćby w przyjaznym duchu, co powinno być cechą każdej dobrze postawionej szkoły.

H. DAJCZER (Lublin).

Dlaczego zbieramy znaczki

(Odpowiedzi na list Ara „Po co właściwie" w numerze z dnia 24/XII-37 r.)

Trudno udowodnić osobie, która nie zajmuje się filatelistyką, po co zbieram znaczki, podobnie jak trudno wytłumaczyć komuś, dlaczego lubi się cukierki albo kwiaty. Wytłumaczyć można jedynie filateliście, bo on odczuje najlepiej całe piękno tkwiące w znaczkach. Dlatego też nie mogę wytłumaczyć Koledze, po co zbieram znaczki, mogę mu jedynie sprawę wyjaśnić.

Otóż zbieranie sprawia mi wielką przyjemność. Przecież znaczki są takie śliczne. Wystarczy spojrzeć na znaczek perski „Poczty Lotniczej" lub na pierwszy lepszy znaczek włoski, a odrazu ulega się ich czarowi. A nie mało jest takich znaczków. Nie będę tu ich wyliczał, bo miejsca nie starczy.

Prócz piękna płynie ze znaczków i pożytek. Każdy kraj stara się utrwalić na znaczkach swe ważne wydarzenia, swych wielkich mężów i uczonych, w ogóle co tylko ma najlepszego. I tak np. mam znaczek Grecji z mapą tego kraju i zaznaczonym na niej wzrostem tego państwa w ciągu stulecia 1830 — 1930. Na znaczkach angielskich widnieją królowie.. Każdy kraj posyła w świat na znaczkach wiadomości o sobie. Mogę więc śmiało twierdzić, że filatelistyka uczy nas i wzbogaca nasze wiadomości.

Kolega Ar. pytał się nadto, co zrobimy, gdy już uzbieramy kolekcję. Uważam, że zbierać nigdy nie przestanę aż urosnę. A wówczas pozostanie mi miła pamiątka z lat dziecięcych. Patrząc na znaczki, będę sobie przypominał, w jakich okolicznościach je otrzymałem. Oto ten znaczek angielski dostałem za dwa portugalskie, ten chiński za paragwajski. Całe moje dzieciństwo stanie mi przed oczyma.

Kolega Ar. mówił także, że znaczków nie trzeba zbierać, bo niepotrzebnie wydaje się na nie pieniądze. W tym i ja się z nim zgadzam. Jestem przeciwnikiem kupowania znaczków, dlatego też tylko zamieniam się lub chodzę do różnych osób, które mogę poprosić o znaczek.

Zresztą znaczki mają także wielką wartość. Czytałem, że niektóre znaczki kosztują setki i tysiące złotych.

Ponadto zbieranie jest swego rodzaju sportem. U nas, w kółku moich kolegów-filatelistów, zdobywa się znaczki w ciekawy sposób: idzie się za listonoszem i zagląda się do torby, albo patrzy się na paczkę listów, którą on trzyma w ręku. Jeżeli są tam rzadkie znaczki, wówczas drałuje się aż do domu, w którym list zostaje oddany i tam wyprasza się znaczek. Te miejsca, w których dostaje się dobre znaczki, nazywają się w naszej gwarze „kopalniami". Ileż to emocji mamy przy zdobywaniu takiej „kopalni", jaka radość przy wyjściu z łupem i jaki smutek, gdy się stamtąd wyłaniję z niczym. Słowem, filatelistyka jest sportem w pełnym tego słowa znaczeniu.

IKS z Augustowa.

II.

Nieznany Kolego!

Zdziwił mnie Twój artykuł, a także Twoja rozprawa z kolegami. Dziwię się, że oni zbierają znaczki tylko poto, aby wklejać do albumu. To jest naprawdę głupie.

Ja dla innego celu zbieram i myślę, że poto właściwie wszyscy zbierają. A więc: ja pragnę od najmłodszych lat podróżować, nie tylko po Polsce, lecz i po innych nieznanych dalekich krajach. Ponieważ to dla mnie narazie marzenia, które są jednak nadzwyczaj przyjemne, przeto zbieram znaczki, aby łudzić się, że właśnie w tym państwie jestem.

Bliższe określenie dałby Ci wiersz, nie pamiętam przez kogo napisany, p. t. „Album z markami". Oto urywek:

„Ileż krajów, o ileż to krajów,
W twym malutkim albumie się mieści!
Drzewem wonnym i ciepłym owocem
Pachnie każdy pocztowy twój znaczek,
Każdy radzi ci: „W kraje jedź obce!"
Wszystkie szepczą: „Ach, tam jest inaczej".

To jest, jak zaznaczyłam tylko urywek, a cały wiersz, który znajdziesz w książce dla VI oddz. „Okno na świat", jest śliczny, mówi nam jasno, że zbiera się marki nie poto, aby były wlepione do albumu, ale poto, aby poznać świat.

Co do kupowania, to też nie masz racji, kiedy mówisz, że szkoda forsy. Ja naprzykład nie wydałem jeszcze grosza na znaczki, bo je dostaję, a inni... inni mogą sobie chyba pozwolić na kupno marek i na inne rzeczy. Skąd wiesz, że to niepotrzebna rzecz? Może dla zbieraczy jest to skarb największy.

Tyś się chyba nad tym nie zastanowił. Może Cię przekonałam, Kolego. Spróbpuj zbierać znaczki, a potem napisz, czy zmieniłeś zdanie czy nie.

FRANIA z Nowolipia.

III.

Podaję powody, dla których uważam zbieranie znaczków za pożądane:

1. — Od czasu, kiedy zbieram znaczki, lepiej poznałem wszystkie kraje i państwa świata, co wpłynęło na moje postępy w geografii. Dawniej nie wiedziałem, gdzie leży naprzykład takie państwo jak Estonia, Bułgaria, Chile, Argentyna, a od czasu, kiedy stale kupuję i sprzedaję znaczki, wprawiłem się tak, że prawie wszystkie państwa są mi znane.

2. — Od czasu, kiedy zbieram znaczki, wiem i orientuję się w wartości znaczków i w pieniądzu poszczególnych krajów. Wiem np., że Ameryka ma centy, Rumunia ma leje, Palestyna — piastry, Grecja —drachmy, Japonia — jeny, Norwegia — korony i t. d.

3. — Wolę zebrane pieniądze wydać na znaczki, aniżeli na łakocie i rzeczy niepotrzebne.

KUBA z Turka.

IV.

Odpowiedź moja będzie krótka.

Otóż są coprawda marki z pięknie wykaligrafowanym napisem i czdóbkami graficznymi — takie nie mają właściwie żadnej wartości. Większość jednakże przedstawia wizerunki władcy czy prezydenta, wielkich wodzów jego, uczonych artystów, mężów stanu i t. p., krajobrazy, faunę i florę, stroje ludowe, pomniki kultury narodowej — budynki, obrazy, rzeźby (np. ostatnia piękna polska seria z widokami monumentalnych budowli lub austriacka — 8 znaczków z wzorami strojów ludowych) — takie są bardzo pouczające. Trzeba tylko umieć patrzeć!

Istnieją co prawda filateliści, zbierający „dla mody", bezmyślnie, ale tych — mam wrażenie — jest mało.

Oto dlaczego zbieramy marki.

Eugeniusz DAWIDOWICZ.

W sobotę, dn. 15-go stycznia

-- ostatni termin nadsyłania

Prac Konkursowych

na tematy:

I. -- „Przygoda"

II. -- „Kiedy tatuś był mały"

III. -- „Z naszego warsztatu"

LEON MAJDA.

BLAGI NIEKŁAMANE

(Dokończenie).

III.

Mknęliśmy, jak cztery psy gończe: tułów pochylony do przodu, sprężyście przygotowany na każdą możliwość, oczy szeroko rozwarte, Rysiek oprócz tego strzygł uchem. Ale nic nie słyszał i nikogo nie widział. Rozciągała się przed nami bezkresna przestrzeń śnieżna.. Z prawa — pustka, znaczona gdzieniegdzie przecinkami drzew , z lewa — opadająca zwolna na dół płaszczyzna. Wszystko otoczone było półkolem sinych, wynurzających się gdzieniegdzie zza mglistych bandaży gór. A całość była niezwykle, nadnaturalnie biała. Góra biała i dół biały.

I właśnie to nas frapowało, to nas zmuszało do przybrania wyglądu psów gończych, że puch śnieżny był brutalnie przecięty, że wędrował przez pola i wspinał się po górach przez kogoś zostawiony kontrastowo czarny, długi ślad narty. Od samych ulic, z których wypadliśmy, aby tak pędzić po górach dla niezrozumiałej przyjemności, wyskoczył z pośród tylu innych śladów ten właśnie tajemniczy, nieznany ślad i wiódł nas już drugą godzinę, chociaż był tak świeży, że śnieg jeszcze nie zdążył zapaść się i wisiał maleńkimi poruszającymi się kulkami nad rowkiem.

Śnieg był suchy, twardy, narta szła lekko, bez wysiłku; może to było powodem, że ślad był tak płytki i wąski. Ale Kazik dawał już pół głowy, że to jest zabłąkane dziecko i przynaglał do szybkiej jazdy. Raz dwa, raz dwa, noga za nogą w przyśpieszonym tempie; raz dwa, raz dwa, ręka goni rękę w szybkim odbiciu; raz dwa, raz dwa — śnieg wąską smugą pieni się przed dziobem, błyska kryształem, lśni biela. Lecz oto płaszczyzna urywa się ostrym, gwałtownym skokiem ucieka głęboko w dół. A właśnie tam w dole na śnieżnym tle, majaczy coś czarnego, może to drzewo, może krzak, może Bóg wie co.... Ale nie, punkcik porusza się, wyraźnie posuwa. Raz dwa, raz dwa, ostatnie uderzenia.

— Hurraaa !

Pęd chwyta za serce, wpycha powietrze gwałtem do płuc. Jakąż rozkoszą jest znać i czuć nieustępliwą, elastyczną pewność nóg, sprężystość czujnego korpusu, spostrzegawczość wytężonych oczu. Już czuję całym ciałem niebezpieczeństwo rowka za parę metrów, tam, gdzie przed chwilą Adam wyleciał głową w przód. Już czuję ten strach i zarazem odwagę przed skokiem. Narty odrywają się od ziemi, wiszą przez parę sekund w powietrzu i znów dotykają ziemi. Już doganiam pana Adama. Pędzimy teraz w dół w stronę owego majaczącego na białym tle punkciku. O cóż idzie teraz nam, upojonym zimnym białym pędem. Czyż naprawdę o tę zbliżającą się, zagadkową postać człowieka ?

...Wracaliśmy w piątkę zachwyceni, t. zn. my czterej byliśmy zachwyceni. Napotkany góralczyk mknął obojętnie, milczący : wiózł z apteki lekarstwa dla chorego ojca.

IV.

Owej słynnej, rozgwieżdżonej nocy bawiono się wszędzie : w załamaniach krzywych uliczek łacińskiej dzielnicy Paryża, na Broadwayu, na Placu Weneckim, w wspaniałych lokalach Kurfuerstendamu. Bawiono się wszędzie, we wszystkich stolicach świata, od Hawany do Oslo, od Tokio do Londynu, w miasteczkach, wsiach, na okrętach i folwarkach, we wszystkich sanatoriach i miejscowościach górskich.

Tańczył cały świat, trząsł się cały glob, zbliżyła się bowiem już ta pora, gdy duża wskazówka miała nakryć małą, zwiastując nadejście nowego roku i właśnie wtedy, gdy za pół godziny miał się skończyć jeden rok, a zacząć drugi — pan Adam nie wytrzymał : zerwał się z posłania na podoaszu pensjonatu i zawołał :

— Chodźmy gdzieś ! Nie ma sensu tak tu siedzieć. Ja funduję, ja za was odpowiadam ! Będzie to wasz pierwszy dancing.

Poszliśmy.

Oślepił nas blask zalanej światłem sali, ogłuszyły dźwięki orkiestry i rozgwar wytwornego tłumu. Onieśmieleni stanęliśmy pod ścianą, a wokoło nas, w takt narzuconego przez orkiestrę tempa mknęły po parkiecie pary w zawrotnym tańcu, coraz prędzej, coraz szybciej.

Nagle zauważyliśmy tę parę sztywniaków z naszego pensjonatu nieskazitelnie wychowanych, to rodzeństwo, które nas doprowadziło do szału swoją nadludzką kulturą.

Pan Adam podszedł do ich stolika. Kiedy ukłonił się, był czerwono-biały : czerwony z podniecenia, a biały ze zdenerwowania. Gdy dworsko zapytał : ‚czy mogę panią prosić" i t. d., był cały atramentowy, zaś gdy jej brat jeszcze bardziej dworsko odparł, że niestety, że bardzo żałuje, że siostra przyrzekła już następny taniec panu rotmistrzowi, — pan Adam zagryzł wargę i wrócił do nas ponury jak plakat żydożerczy.

Siedzieliśmy przy stoliku w milczeniu. Ludzie oglądali się na tę złośliwą karykaturę sylwestrową: nasz opiekun, pan Adam, pił jak grabarz po dostojnym nieboszczyku, Kazik bujał gdzieś myślami, Rysiek drzemał. Naraz ocknęliśmy się wszyscy : Obok nas przeszło wytworne, dystyngowane rodzeństwo. Ona, w futrze już, kierowała się do wyjścia i mijając nas, spojrzała na pana Adama, niespodziewanie uśmiechnęła się słodko i znikła. Spojrzeliśmy po sobie zdumieni. Pan Adam zerwał się z miejsca i wywalając krzesła pędził do drzwi, wypadł, pośliznął się na progu i runął w przód głową, przebijając ciemność. Za nim pełnym szpintem walił Kazik, po nim ja, a za mną Rysiek.

Od ciepłej, czarnej masy sań i koni oderwał się jeden powóz. To byli oni ! Pomknęli po suchym, skrzypiącym śniegu.

— Chłopcy, naprzód ! — zawył pan Adam.

Dobiegliśmy do pierwszych z brzegu sań, wskoczyliśmy (ja z Adamem na stopnie) i runęliśmy naraz pełnym galopem za znikającym w ciemnościach rodzeństwem.

Droga prowadziła stale i niezmiennie w dół, sanie mknęły lekko, koń ogromny, czarny, spocony, wybijając z zmarźniętego śniegu złote iskry, dotykał prawie brzuchem ziemi. W świetle rzadkich, żółtych latarń widzieliśmy tamte uciekające sanki. Niewątpliwie wiedzieli o naszym „pościgu"; sądzę, że nawet domyślali się, kto ich goni, bo przyspieszyli biegu. Wiatr w głupawym uporze chciał nas zatrzymać, chwytał nas za włosy, ale cóż tam, mknęliśmy, jak huragan, jak burza, jak tajfun, jak samum, jak zaraza !

Zbliżaliśmy się najwyraźniej. Już między miarowy rytm kopyt naszego konia wdzierał się tętent tamtego, słyszeliśmy już szum i skrzyp płóz tamtych sań. Sanki dygotały całe. Wyjechaliśmy już z miasteczka. Noc spadła na nas, jak sęp lub inny jaguar i oto na ostrym, gwałtownym zakręcie sanie uderzyły w pień. Półprzytomny, łukiem wyleciałem w powietrze, szybowałem kilka chwil, utkwiłem głową w twardym śniegu i oprzytomniałem zupełnie.

Gdy sanie wracały wolno, triumfująco, wgramoliłem się na nie. Wracaliśmy zachwyceni, t. zn. że my czterej byliśmy zachwyceni. Bo oni, ten mądry brat i ta słodka siostra, byli jak zawsze niewzruszeni, rozbrajająco uprzejmi, biegunowo zimni.

V.

Można powiedzieć bez ryzyka, że to wszystko było winą Ryśka. Bo cóż za dowcip na tak niebezpieczną pogodę oddalać się na cztery godziny drogi od miasteczka jedynie po to, a-

o filmach dozwolonych i niedozwolonych,

o pragnieniach młodego widza w ogóle

Przyjemnie jest iść do kina. Przyjemnie w ciemnej sali wraz z innymi widzami oglądać na białym ekranie dalekie kraje, podróże, cofać się w przeszłość, wzruszać się do łez przy tragediach, śmiać się do rozpuku przy scenach komicznych; przyjemnie jest widzieć to wszystko, od czego w naszym życiu codziennym jesteśmy bardzo oddaleni, o czym możemy tylko marzyć.

Wiele jest rodzajów filmów. Są filmy egzotyczne, podróżnicze, przyrodnicze, historyczne, biograficzne, kryminalne, szpiegowskie, miłosne; tragedie, komedie, kreskówki, krótkometrażówki i wiele, wiele innych; są wreszcie, co jest dla nas szczególnie ważne, filmy dla młodzieży dozwolone i niedozwolone.

Czym się kierowano przy tym podziale? Troską o „zachowanie moralności młodego pokolenia". Wzięto więc te wszystkie filmy (jakieś 90 proc. całej produkcji filmowej), któreby w najmniejszym nawet stopniu mogły demoralizować młodzież i uczyniono je niedozwolonymi, uzasadniając tym, że są one dla nas bardzo szkodliwe.

Nie wszędzie jednak podział taki istnieje. Młodzież lubelska jest w tym właśnie szczęśliwym czy nieszczęśliwym, jak kto woli, położeniu. Oglądamy tedy te wszystkie niedozwolone w Warszawie czy Łodzi filmy i... „demoralizujemy się". Czym? Ano rozmowami o miłości (przy których się zazwyczaj drzemie), pocałunkami. Czy to naprawdę może demoralizować? Owszem, dziesięcioletnie dzieci, ale chłopców 15-letnich, wkraczających niemal w życie — nigdy!

Przyznaję, że jest kilka filmów naprawdę dla nas szkodliwych, np. „Droga do Rio" albo „Przedziwne kłamstwo Niny Petrowny". Ale czy nie wolno nam oglądać wielu innych filmów zupełnie niewinnych? Po prostu ci, co przeprowadzili podział filmów na „dozwolone" i „niedozwolone" nie uwzględnili podziału młodzieży na dzieci i młodzież starszą, i stąd całe nieporozumienie. Filmy powinny być bowiem podzielone na 1) — filmy dla dzieci i młodzieży do lat 14, 2) — filmy dla młodzieży starszej do 17 lat, 3) — filmy dla dorosłych od 17 lat. Sądzę, że to prosta, a mimo to niezwykle ważna reforma znajdzie chyba zrozumienie i zastosowanie w najbliższej przyszłości.

Ale rozejrzyjmy się w filmach dla młodzieży dozwolonych. Filmy te można podzielić ze względu na ich treść na kilka kategorii 1) — filmy krajoznawcze i przyrodnicze, 2) — filmy rysunkowe, 3) — komedie z Patem i Patachonem, Flipem i Flapem z Joe Brownem (bardzo rzadko najnowsze komedie amerykańskie czy francuskie z Fredem Astaire i Singer Rogers lub z Danielle Darieux), 4) — filmy egzotyczno-sensacyjne (np. seria „Tarzanów"), 5 — filmy historyczne i biograficzne, 6) — filmy według powieści dla młodzieży lub o treści z jej życia.

Niestety z całej tej litanii tylko kilka filmów może nas zachwycić.

Filmy krajoznawcze nużą i — powiedzmy prawdę — nudzą już jako dodatki do głównego filmu, a cóż dopiero mówić o programie — a to się często zdarza — wyłącznie z takich filmów! Pragniemy widzieć na ekranie to, co w życiu bardzo rzadko albo wcale nie widzimy, co odbiega od wytartego szablonu życia codziennego. Nie może więc nas zaciekawić „Zwózka drzewa na Huculszczyźnie" albo „Polesie — kraina smętnych pieśni". W niepowodzeniu tego rodzaju filmów decydującą rolę odgrywa także zupełny brak akcji. Tymczasem filmy te są bodaj że najliczniejsze.

Filmy rysunkowe są bardzo miłe, ale jako... dodatki. Po godzinie oglądania ich, zaczynamy się nudzić, bolą nas oczy i głowa od ciągłego patrzenia na kreski, plamy, na jaskrawe kolory, razi naiwność tematów.

Ta naiwność przejawia się także w komediach z Flipem i Flapem czy Joe Brownem. Ostatecznie możemy się nawet śmiać, patrząc jak gruby, niezdarny Flip wpada wciąż do wody, jak Brown z twarzą idioty, sprzedając traktor, wylatuje wciąż za drzwi mieszkania nieuprzejmego klijenta. Ale gdy cały film naszpikowany jest tego rodzaju scenami, płytkość i naiwność tego komizmu rzuca się w oczy nawet mniej wybrednego widza. O wiele bardziej odpowiada nam zdrowy, prawdziwy, głęboki, a mimo to błyskotliwy humor Freda Astaire'a czy Danielle Darieux.

Nie interesują już nas filmy egzotyczno - sensacyjne i nie przejmujemy się wcale losem Tarzana, który zmienia się zresztą wraz z mistrzami pływackimi świata.

O wiele bardziej odpowiada nam typ filmu historycznego i biograficznego. Powstały już tego rodzaju arcydzieła filmowe, są nimi „Wyprawy krzyżowe" „Ostatnie dni Pompei", „Pasteur". Czym wytłumaczyć powodzenie tych filmów? Zachwyca i przejmuje nas potęga i bogactwo starożytnego Rzymu, męczeństwo pierwszych chrześcijan czy też ciche, ale nie mniej wielkie bohaterstwo, bezustanna praca dla dobra ludzkości odkrywców i myślicieli, zaciekawia i porywa szybka, błyskotliwa akcja. Tych cech nie było w niezwykle reklamowanym „Scypionie Afrykańskim" i dlatego film ten spotkał się z zupełnie słuszną odprawą rozczarowanej publiczności.

Wielkim powodzeniem cieszą się także sfilmowane powieści dla młodzieży — „Dawid Cooperfeld", „Chłopcy z Placu Broni", „Mały Lord" — lub takie obrazy, których tematem jest samo życie młodzieży, np. „Dzieci ulicy".

Jak widzimy, z tych nielicznych stosunkowo filmów dozwolonych tylko niektóre są przez młodzież chętnie przyjmowane. Stanowczo należy temu zaradzić.

Należy powiększyć i polepszyć produkcję filmów dla młodzieży. Możliwości są wielkie. Takich młodocianych talentów jak Shirley Temple, Fredie Barthomolew, Jack Cooper czy Mickey Rooney jest z pewnością znacznie więcej. tematów chyba nie brak. Szczególnie wielkie pole otwiera się pod tym względem dla kinematografii polskiej. Weźmy np. arcydzieło Sienkiewicza — „Trylogia". Przecież ona po prostu prosi się o przeniesienie na ekran. Możliwości są wielkie, reszta zależy od chęci.

Należy więc dążyć z jednej strony do zmniejszenia do minimum filmów „niedozwolnych", z drugiej — do zwiększenia produkcji i podniesienia wartości filmów „dozwolonych". Należy rozszerzyć horyzont filmowy młodzieży.

Przydałaby się z pewnością obniżka ceny biletów kinowych w wielu miastach, ale to już inna sprawa.

H. Dajczer (Lublin).

„Książe i żebrak"

Ferie! Sklepy zamknięte, przechodniów mało. Mróz. Brzęk łyżew. Granatowe petki i bluzy ślizgawkowe na ulicach.

Mogę iść do kina nie dbając o nieodrobione lekcje, o klasówki, o słówka wreszcie. Ale dokąd pójść? W czasie świąt mamy wielki wybór. Podchodzę do słupa i przeglądam programy. Naturalnie pójdę na film „Książę i żebrak". Oczekiwałam tego filmu nie wiem jak długo. Książkę Marka Twaina czytałam wiele razy i za każdym razem zachwycałam się nią. Tyle oryginalności, humoru i talentu nie znalazłam w żadnej innej książce dla młodzieży.

Wskoczyłam więc do przejeżdżającej w tej chwili „Ósemki". Po dziesięciu minutach byłam już przed kinem. Spojrzałam na zegarek: było po czwartej. I jak znikłam w hallu, tak ujrzałam światło dzienne (światło wcale nie było „dzienne", było nawet bardzo „nocne", ale tak już się pisze) dopiero o 9-ej. Wyszłam chwiejąc się na nogach, może nie tyle z nadmiaru wrażeń, ile z powodu śniegowca, który mi uwierał przez pełne pięć godzin siedzenia w sali kinowej.

Byłam zadowolona z obejrzanego filmu. Słyszałam jeszcze ciągle dźwięczny śmiech dwóch chłopców: księcia Edwarda i żebraka Tomu Canty. Ci bliźniacy (bracia (Mar-h) — to nowy nabytek filmu. Myślę, że powinni być zastąpieni przez bliźnięta Bartholomew, a że takich nie ma, pocieszmy się bliźniakami Mauch.

Billy i Bobby grają bardzo dobrze, ale myślę, że należy ich ociosać i okrzesać tak, jak to robiono w dawnej Polsce z nowowstępującymi na uniwersytet żakami. Nie zdołali

(Dokończenie na str. następ.)

by obejrzeć szkielet zdechłego konia. Mówiliśmy do Ryśka, że jest matołem, ale Rysiek zaciął się po lwowsku: on musi pójść, a jak my z nim nie pójdziemy, to on sam pójdzie.

— Słuchać hadko, — powiedział pan Adam i poszliśmy razem.

Już z samego początku, jak tylko wypełzliśmy z ulic, począł padać delikatnie i gęsto śnieg. Padał na powieki, oczy, nos, na wargi i ramiona. Ale dopóki można było iść, szliśmy.

Rysiek prowadził, poznając drogę po jakimś ułamanym drzewie, po na pół spalonym jałowcu, po jakiejś opuszczonej, niewykończonej chałupie. Jednak po dobrych dwu godzinach, gdy ukazał się niespodziewanie i nagle, jak kleks na białej karcie las, gdy zerwał się wiatr, tocząc w naszą stronę jak ogromną piłkę niską, ciemną chmurę, wówczas Rysiek, rozejrzawszy się wokoło rzekł, że niestety, nie poznaje krajobrazu, nie wie, gdzie jesteśmy.

Zjechaliśmy w las. Drzewa, zazdrosne o naszą ruchliwość, same przykute do ziemi kajdanami korzeni, złośliwie usiłowały nas zatrzymać, oślepiały, rzucając na głowy kaptury śnieżne, znienacka podstawiały pod nogi pniaki i korzenie, zmuszając do gwałtownego zakrętu, biły po spuszczonej twarzy gałęźmi i cichym, basowym szeptem naradzały się z sobą nad nową zasadzką.

I oto, zatrzymany przed sosną na zakręcie, pan Adam rzucił się w lewo, gdzie zdradziecko ukryty w śniegu, śmiejący się spróchniałą gębą pień wychylił się naraz z kryjówki i dziabnął rozpędzone narty. Pan Adam podskoczył do góry i runął w mokre i gęste igliwie.

— O Boże! — jęczał pan Adam, zjeżdżając na pole, cały nadziany igłami. — Co to za nonsens — jazda w taką pogodę!

Wiatr puścił chmurę, skoczył na ziemię rozbawiony, poderwał kurzawę z dołu, zaczął drażnić drzewa, zrywając z ich dostojnych głów czapy śnieżne. Potem zauważył nas, przybiegł w podskokach i wziął się za bary z panem Adamem, nie chciał puścić naprzód. Ale pan Adam — siłacz, rozerwał uścisk wiatru. Wiatr przylgnął do ziemi, przycichł, zakraczł się z tyłu i zjeżdżającego Kazika pchnął z całej siły naprzód, wsiadł mu na kark, obalił na ziemię i zawył z radości, wzbił się w górę i pobiegł koło nas, gwiżdżąc i sapiąc.

Nie wiedzieliśmy, w którą stronę mamy się zwrócić. Naraz, zza śnieżnej zasłony wynurzyła się owa niedokończona chałupa. Od owej chałupy mieliśmy jeszcze dwie godziny drogi.

Wracaliśmy do domu rozwścieczeni. W pokoju pan Adam rozebrał się do połowy, zgiął kilkakrotnie rękę i rzekł do Ryśka:

— Taż dobrze ci tam było, ha? Taż, batiarze, trupa znalazłeś, ha? Taj-joj, ja ci tu, wale hetmański, trupa pokażu!

Po tym monologu rąbnął Ryśka czystym direktem w szczękę i poprawił lewym sierpem.

VI.

Akurat tego dnia, w którym przybył Ahenobarbus, powstał w pensjonacie tumult, wrzask i zamieszanie. Nasza żel betonowa gospodyni dostała ataku serca i położyła się na wznak na łóżku. Powstał wyżej opisany tumult. No więc gorczyca, krople walerianowe, zastrzyki, doktorzy, okulary, łysiny. Więc portier biega po aptekach, mąż gospodyni wariuje jak subiekt na wyprzedaży, obiadu nie podają, podwieczorku nie podają, goście chudną w oczach. A wieczorem ukazała się w drzwiach miedziana broda Ahenobarbusa.

Konsylium. Jeden doktór półśpi, drugi półgębkiem uśmiecha się trzeci półgłosem stawia diagnozę: że niby to, ale nie to. Niby atak, ale wcale nie atak. Dobrze, że chora leży w łóżku, ale lepiej byłoby, gdyby wstała. Gospodyni leży w łóżku, przewraca wściekle lewym bokiem i nic nie mówi.

Wchodzi Ahenobarbus. Doktorzy w krzyk, że gospodyni chora że tak nie można, że won i koniec.

A na to Ahenobarbus:

— A zastrzyk cukru gronowego zrobiliście?

Doktorzy skulili się, jak kwiaty w zimie. Ahenobarbus rzucił marynarkę w kąt i ryczy:

— Kolego, szprycę! Kolego, wodę! Eter!

Doktorzy cicho i skrupulatnie to i to. Już nie śpią i nie stawiają diagnoz. Podają Ahenobarbusowi szprycę, i cukier, i wodę, i eter, i watę

Uratował gospodynię. Wstała, poszła i wkrótce zapomniała, że niedawno mogła ruszać tylko lewym boldem.

Ahenobarbus zamieszkał w pensjonacie. Gospodyni przed nim pełzała, pokojówki trzy razy dziennie pokój sprzątały, kucharka przyrządzała dla niego specjalne potrawy. Sportowcy padli na twarz, gdy im pokazał telemarka na stromej ścianie, profesor owadologii zdębiał na wykładzie, jakiego ten mu udzielił o musze tse-tse w Indiach. Słowem ten uczony drab o czerwonej brodzie Nerona podbił wszystkie serca, wszystkich olśnił, prześcignął, ujarzmił.

Ahenobarbus szalał na wycieczce. Sportowcy z podziwem patrzyli na jego wysoką postać. Był duszą całej wycieczki. Krzyczał, gwizdał, porykiwał. Klepał pana Adama protekcjonalnie po głowie, mówił Ryśkowi, że nauczy go jeździć na nartach, był w doskonałym humorze. Wśród ogólnej ciszy opowiadał o swoich zimowych wyprawach na Pikuj, o zawiei śnieżnej na Popie Iwanie, o lawinie na Howerli, o polowaniu na wilki w Gorganach; rozwijał przed nami pasma przebytych gór od Beskidu Zachodniego do Czarnohory; opowiadał o tradycjach narciarskich w Alpach francuskich, o kolegach współzdobywcah Jungfrau, o pirenejskich hotelach, o księstwie Andora, o wszystkich sławnych narciarzach Europy, o Birger Rundzie, o Czechu, o Anderssonie, o Jalkanewie. Ten człowiek był niezwykły!

— Czy zdołałby pan w pół godziny obejść tę oto górę i wrócić do nas? — zapytał pan Adam.

Buchnął śmiech straszny. Zwycięzca Jungfrau śmiał się:

— Może pojedziesz ze mną, młodzieńcze, bo mi nie uwierzysz.

To go zgubiło. Poszliśmy w piątkę. Ahenobarbus nie wrócił ani po godzinie, ani po dwóch. Późnym wieczorem przyniesiono go do domu z rozwalonym nosem, charczącego, półprzytomnego.

— Ano, mówił pan Adam, rzucał się, rzucał, aż trafiła kosa na kamień.

WSTĘP, KTÓRY TRZEBA CZYTAĆ NA KOŃCU.

Jest jeden krytyk, którego boję się. To jest mój wujek. Jedzie teraz może do Równego, czy Lublina, widzi, że Leon znów majda, więc uważnie czyta, kiwa mądrze głową, starannie chowa gazetę do bocznej kieszeni, a przyjechawszy do Warszawy, napewno mnie zapyta:

— Doskonale, mój bratanku. Wszystko w porządku. Faktycznie blagi, ale dlaczego niekłamane?

Otóż to właśnie chcę wujkowi wytłumaczyć. Trudno, posiadam blagierskie usposobienie. Ale te wszystkie opowiadania są niekłamane. Czy mógłby wujek powiedzieć, tak z ręką na sercu, że te awantury nie zdarzyły się? Czy są one nieprawdopodobne? Nie. One tylko wynikły to tu, to tam, w różnym czasie, podczas mojej czteroletniej kariery narciarskiej, ale to nie umniejsza ich prawdopobieństwa. Prawda, że wszystkie opisane tu przygody ja sam przeżyłem. Czyż to ma stanowić przeszkodę, dla której nie miałbym ich opisać? O nie. Potrzeba jedynie odrobiny fantazji dla odtworzenia przygód z opowiadań uczestników, a wtedy nikt nam nie zarzuci blagi. Tym bardziej blagi, popełnionej z miłości do gór.

Ale wujek chyba nie zada mi tego pytania. Po co kompromitować rodzinę?

jeszcze przyswoić sobie ruchów, sposobu mówienia i uśmiechów tak charakterystycznych dla Shirlevki i innych rutynowanych artystów. Ale i bez tego bliźnięta zdobyły serca widzów.

Wyjęłam teraz z torebki program i spojrzałam na nich: co za uderzające podobieństwo!

A obok księcia stoi jego obrońca Hendon Miles czyli Errol Flyn ze swą nieodłączną szpadą. Miły beztroski żołnierz, doskonały szermierz bez grosza przy duszy, dający jednak sobie radę w życiu. Errol Flyn jest w tej roli wyjątkowo dobry. Gra tu prawie tak jak w „Kapitanie Blood'zie". Myślę, że gdyby Errol Flyn nie był artystą, zostałby szermierzem i tu ustalałby rekordy.

Niegorszy od tych trzech artystów jest Claude Rains, ów słynny „Niewidzialny człowiek" w roli lorda Hertworda, czarnego charakteru.

Poza tymi walorami „Książę i żebrak" posiada wyjątkową wystawę takiej koronacji, z najdrobniejszymi szczegółami, nie widziałam na żadnym innym filmie.

Muszę przyznać, że powieść Marka Twaina została pokazana na ekranie właśnie tak, jak ją sobie wyobrażałam. To też gdy światła się zapaliły, na widowni rozległy się głośne oklaski, które słusznie należały się artystom i reżyserowi, ten film bowiem jest bezsprzecznie jednym z najlepszych dla nas filmów.

Zosia z Orlej.

WYNIKI KONKURSU FILMOWEGO.

Za najlepszą pracę z pośród nadesłanych na temat filmów dla młodzieży (jeden z tematów aktualnych) uznano artykuł H. Dajczera, który w ten sposób zdobywa przyrzeczoną nagrodę. („Na srebrnym ekranie" z Biblioteki Naukowej dla Młodzieży.)

Wyróżniono także wrażenia z filmu „Książę i żebrak" Zosi z Orlej i Marka z Franciszkańskiej „Ziemia błogosławiona" (ukaże się w następnym numerze).

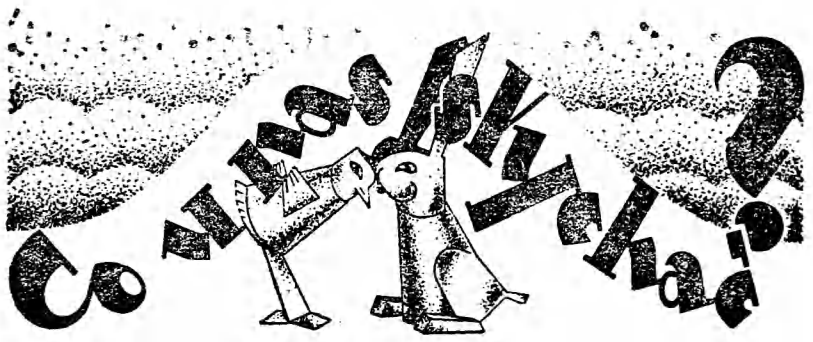

ZABAWA W SZKOŁĘ.

Dziś przyszły do mnie cztery koleżanki. Mania chciała, żebyśmy się bawiły w sklep, Tosia chciała w chowanego, Zosia chciała, żebyśmy się bawiły w chowanego, a Róża w szkołę. Więc wszystkie dziewczynki zgodziły się na projekt Róży i zaczęłyśmy się bawić.

Zapytałam, kto chce być nauczycielką, więc Zosia chciała uczyć polskiego, a ja rachunków.

Rozległ się dzwonek i wszyskie dzieci usiadły na miejsca. Zosia, nasza nauczycielka weszła do klasy i rozpoczęła się lekcja polskiego. Zosia kazała Róży i Mani czytać i to czytanie trwało przez całą lekcję i było bardzo nudno. Nie mogłyśmy nic powiedzieć, bo Zosia za złe sprawowanie stawiała do kąta. Nareszcie pauza. Po dzwonku dzieci weszły do klasy i wtedy ja miałam z nimi rachunki. Mania musiała obliczyć, ile jest pięć minus dwa. Mania. powiedziała, że trzy, więc ja zapytałam dzieci, czy Mania dobrze obliczyła. Dzieci powiedziały, że dobrze.

Starałam się, jak umiałam, urozmaicić moją lekcję, żeby nie było nudno i żeby zabawa była naprawdę przyjemna.

Było już późno i moje koleżanki poszły do domu.

Dziunia.

WIELKA NIESPRAWIEDLIWOŚĆ.

W naszej szkole, jak zresztą i w innych szkołach, czy to w powszechnych czy średnich jest zwyczaj, że dwa razy do roku kupujemy pani wychowawczyni prezent. Tak też i w tym roku zebrałyśmy 5 zł. i kupiłyśmy dla naszej dobrej wychowaczyni komplet do śledzi.

Ten właśnie prezent położyłyśmy na biurko przed rozpoczęciem lekcji, na której miało się odbyć rozdawanie cenzur. Pani weszła do klasy i z miną poważną położyła na stół cenzurki.

W momencie rozdawania świadectw panowała w klasie wielka cisza. Ja, która zapisana jestem w dzienniku na 24 miejscu, nie mogłam się doczekać mojej kolejki. Byłam nawet trochę niespokojna, bo przeczuwałam, że dostanę niesprawiedliwe stopnie, na które wcale nie zasłużyłam, ponieważ uczę się bardzo dobrze. I tak było w rzeczywistości.

A teraz napiszę w krótkich słowach, czym naraziłam się pani, że mnie aż tak ukarała.

Było to dwa miesiące temu. Wracałam ze szkoły do domu i bardzo się śpieszyłam, bo w domu czekała na mnie chora mamusia, przy której trzeba było coś zrobić.

Nagle zaczepiła mnie nasza wychowawczyni i poprosiła, żebym jej zaniosła teczkę do domu. Powiedziałam, że niestety, nie będę mogła spełnić prośby pani, bo w domu czeka na mnie chora mamusia.

Pani bardzo się obraziła i od tego czasu ma do mnie urazę. Uważam obniżone stopnie za wielką niesprawiedliwość i dziwię się, że pani mogła tak brzydko postąpić.

Rachela z Sosnowca.

NIEMIŁA PRZYGODA.

Nasza klasa urządziła wycieczkę do Łazienek. Szliśmy weseli i uradowani.

Nagle na rogu ulicy Brackiej napadli na nas chrześcijańscy chłopcy i zaczęli obrzucać kamieniami. Na szczęście nadszedł policjant, który zatrzymał awanturników i zaprowadził ich do komisariatu. Chłopcy opierali się i nie chcieli iść, a gdy nic nie pomagało, zaczęli nam grozić, że się zemszczą. Jeden z nich krzyknął:

— Żydzi do Palestyny!

Wtedy nasz kolega, który jest odważny, odpowiedział:

— Jeżeli nam dacie pieniądze, chętnie pojedziemy do Palestyny.

Mieliśmy już zepsutą wycieczkę i humory także, i smutni wróciliśmy do domu.

Fela i Sara.

ELEKTROWNIA W ŁUNNIE.

Od roku 1928 istnieje w miasteczku Łunna elektrownia. Ta elektrownia jest połączona z parowym młynem. Młyn miał niedobrą maszynę.

W roku 1937 właściciele tego młyna postanowili zmienić maszynę. Kiedy przywieźli nową maszynę, wszystko było w porządku. Ale kiedy monter wyjechał, maszyna przestała pracować. Miasteczko tonęło w ciemnościach, bo nie było prądu. Wszędzie panował smutek, ludzie byli źli na właścicieli elektrowni, ale nie mieli racji, bo właścicielom także nie było dobrze bez elektryczności, tym bardziej, że odbywał się akurat targ, a młyn nie pracował. Więc ponieśli dużo strat, a tu jeszcze ludzie bardzo narzekali, robili zarzuty, że to nieporządek, że skandal i w ogóle bardzo było nieprzyjemnie.

Mnie się zdaje, że ludzie nie mieli racji, bo przecież nikt nie chce komuś drugiemu specjalnie robić na złość, w dodatku, gdy wie, że i sobie tym szkodzi.

Iankiel z Łunny.

PRZEZ POMYŁKĘ

Mój kolega Rysio zachorował. A było tak:

Rysio poczuł się źle i narzekał na ból gardła. Zawezwano doktora, który powiedział, że Rysio ma naloty w gardle, więc pewnie będzie miał anginę. Doktór radził udać się do specjalisty, który leczy nos, uszy i gardło i nazywa się laryngolog.

Więc wezwano laryngologa, który kazał zrobić analizę. Ponieważ analiza nic nie wykazała, więc myślano, że Rysio będzie wkrótce zdrów.

Jednego dnia (było to już po przeprowadzonej analizie) przyszła do mieszkania Rysia sanitariuszka i powiedziała, że przysłali ją, żeby zrobić Rysiowi zastrzyk. W domu była tylko ciocia i służąca.

Po zastrzyku Rysio zaczął narzekać na bóle głowy i dostał gorączki. Kiedy mama wróciła do domu okazało się, że sanitariuszka omyliła się w adresie i zamiast komu innemu, zrobiła zastrzyk Rysiowi. Na szczęście Rysiowi nic się nie stało i nie chorował po tym zastrzyku.

Teraz Rysio jeszcze nie wychodzi, ale szybko wraca do zdrowia. Dzisiaj jego mama telefonowała do nas i prosiła, żebym go odwiedził, kiedy już się będzie zupełnie dobrze czuł.

Żal mi go bardzo, więc postanowiłem, że gdy przyjdę do niego, dam mu podłużny angielski znaczek koronacyjny, przedstawiający króla Jerzego VI i królowę Mary razem.

MAREK z Franciszkańskiej

CI, KTÓRZY ODESZLI

I.

W środę mieliśmy skrzynkę pytań. Pan Urlik tłumaczył nam o pokładach soli w ziemi. Nazajutrz rano doszła nas przerażająca wieść, że pan Urlik umarł.

Wchodzimy na salę rekreacyjną. Cisza. Rzucają nam się w oczy dwie czarne wstęgi. Podchodzimy bliżej i czytamy: „B. p. Eliasz Urlik".

Na twarzach naszych maluje się smutek. Odzywa się krótki dzwonek na ćwiczenia. Na lekcjach jest ciszej, niż zwykle. Nauczyciele mówią nam o zasługach pana Urlika, który był założycielem naszej gazetki „Kuźnica". Na znak żałoby nie będzie dziś muzyki, a dzwonki będą krótkie.

Nasza klasa zebrała pieniądze i dla uczczenia pamięci naszego nauczyciela ofiarowała te pieniądze na szpitalik, w którym leczy się chore dziecko pana Urlika.

MIECIO z Miłej

II.

Niedawno w naszej szkole zmarła uczenica czwartej klasy. Mieliśmy właśnie lekcję geografii, gdy do klasy wszedł woźny z książką ogłoszeń w ręku. Nauczyciel przeczytał nam o tragicznej śmierci koleżanki. Nie mieliśmy już z tego powodu ostatniej lekcji.

Niektórzy chłopcy byli z tego powodu bardzo zadowoleni, a ja wolałbym mieć nawet dziesięć lekcji, byleby ta dziewczynka nie umarła.

Nazajutrz odbył się pogrzeb. Najpierw szli nauczyciele z dyrektorem, za nimi cała czwarta klasa, rodzice i dużo, dużo znajomych.

A na budynku szkolnym smutno i ponuro powiewa żałobna chorągiew.

WOWA z Białegostoku

MOJA BIBLIOTECZKA

Mam własną biblioteczkę. Jest w niej dziesięć książek. Są one wszystkie bardzo ładne. Najładniejsza z nich jest „Łap-Cap" Lucyny Krzemienieckiej.

Wszystkie moje książki mają ładne obrazki. Utrzymuję je czysto, są obłożone i ponumerowane.

Chciałabym mieć więcej książek, niż mam i zrobić sobie większą biblioteczkę.

MALA z Nowolipek

PROSBA

Panie redaktorze! Mam siostrę Ankę, która ma 12 lat. Ona mi ciągle dokucza, bije i nie daje mi się uczyć. Mnie jest wstyd, ale ona jest silniejsza.

Niezadługo będą moje urodziny. Może pan wydrukuje ten list i ona na moje urodziny sprawi mi taki prezent, że przestanie mi dokuczać.

JÓZIO z Boduena

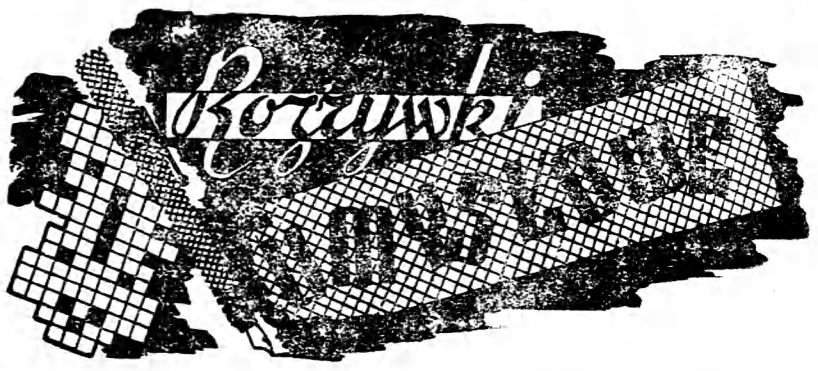

IX-ty TURNIEJ ROZRYWKOWY „MAŁEGO PRZEGLĄDU"

Rozwiązanie zadania turniejowego Nr. 19

A	t	e	n	y
c	A	p	r	i
p	r	A	g	a
m	e	r	A	n
r	o	s	ż	A
d	u	n	A	j
d	r	A	w	a
m	A	l	t	a
A	l	g	e	r
p	A	r	y	ż
i	t	A	k	a
k	a	z	A	ń
w	a	r	t	A

Rozwiązanie zadania turniejowego Nr. 20

Każda liczba, podzielona przez swoją setną część da w rezultacie 100.

ZADANIE TURNIEJOWE nr. 22

Za rozwiązanie 1 punkt

Logogryf literowy

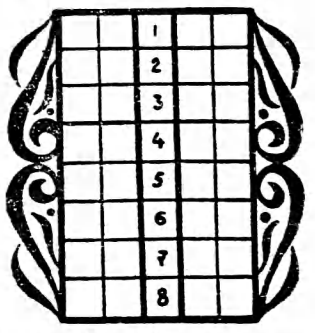

W powyższą figurę wpisać 8 wyrazów o podanym niżej znaczeniu. Rząd oznaczony cyframi, da rozwiązanie.

ZNACZENIE WYRAZÓW

1. Płyn palny
2. Rząd turecki
3. Uroda
4. Stały dochód
5. Grupa wyznaniowa
6. Papier do kopiowania
7. Fałda.
8. Rura do ścieku wody.

ZADANIE TURNIEJOWE nr. 23

Za rozwiązanie 2 punkty

Nadesłał Heniek Tysobow

Kołówka

W powyższą figurę należy wpisać 14 wyrazów o podanym niżej znaczeniu.

ZNACZENIE WYRAZÓW

1—2—Rozpowszechniony w danym okresie czasu sposób ubierania się.
3—4—Część ubrania
4—5—Powierzchnia drzewa
6—7—Zwierzę
7—8—Statek
9—10—Część dłoni
10—11—Działanie
12—13—Ptak domowy
13—14—Narzędzie rolnicze.
15—16—Ściśle odseparowana klasa społeczna
16—17—Wezwanie
18—19—Uderzenie
19—20—Hartowane żelazo
21—1—Głośne, publiczne wezwanie.

ZADANIE TURNIEJOWE Nr. 24

Za rozwiązanie 4 punkty

Przesuwanka geograficzna

Poniższe nazwy geograficzne należy ustawić w takiej kolejności, by pierwsze ich litery dały rozwiązanie: znane przysłowie.

Antwerpia, Amsterdam, Augustów, Ciechocinek, Dubrownik, Eufrat, Europa, Gniezno, Inowrocław, Jordan, Kraków, Łódź, Nałęczów, Oliwa, Otwock, Poznań, Radom, Uganda, Zagrzeb, Zakopane, Zgierz.

TELEFONICZNIE POROZUMIEĆ SIĘ Z REDAKCJĄ „MAŁEGO PRZEGLĄDU" MOŻNA WE WTORKI i PIĄTKI OD GODZ. 1 — 2, TEL. 11-99-17. INTERESANTÓW REDAKCJA PRZYJMUJE W NIEDZIELĘ OD GODZ. 4 DO 5-ej, NOWOLIPKI 7